

Steffen Möller: „Vita Classica – wyznania słuchającego inaczej” 4 wybrane rozdziały w opracowaniu polskim

Krótki opis książki:

We wrześniu 2009 została wydana moja druga książka: „Vita Classica – wyznania słuchającego inaczej”. Ujawniam się w niej jako fan muzyki klasycznej. Od wczesnych lat młodości należę do ok. 5% wszystkich słuchaczy muzyki, którzy są prześladowani i szykanowani przez fanów pop/rock. Jeśli muzyka jest ostatnią religią postmodernizmu, to fan klasyki jest heretykiem pośród wiernych. Na imprezach nie może plotkować o najnowszych przebojach, a na wycieczkach szkolnych jego kasyety Beethovena i Brucknera są wyśmiewane nawet przez kierowcę autokaru. Nic dziwnego, że w końcu stałem się hipokrytą mówiąc: "Jestem fanem Queen..."

W książce zadaję sobie pytanie, jak doszło do tego, że jestem fanem tak starej muzyki. Od czego zależy nasz gust muzyczny? Od rodziców, genów czy charakteru? Poza tym opowiadam o pierwszej i drugiej miłości w Wuppertalu, o czasach studiów w Berlinie oraz o polskich latach, o początku i upadku mojej tv-kariery.

Przede wszystkim zaś opowiadam o innych fanach muzyki klasycznej. Na szczęście oni naprawdę istnieli i w Niemczech, i w Anglii i w Polsce – choć rozproszeni, dziwaczeni i ukryci. To oni, pracownicy sklepów, pastorzy, wykładowcy są prawdziwymi bohaterami tej autobiografii na tle muzycznym.

Motto

„Ja lubię muzykę klasyczną, kelner zaś jest zwolennikiem tanga, więc gdy właśnie słucham koncertu Beethovena, zaczyna gwizdać tango tak ostentacyjnie, że nie ma rady – muszę odstąpić mu radio. Właśnie wczoraj poprosiłem go bardzo pokornie, żeby mi pozwolił posłuchać trochę, ale od tej chwili wszyscy w hotelu patrzą na mnie jak na mordercę, człowieka bez serca i zgniły płód feudalizmu. Koniec końców zwycięsko z tego wyszedł kelner, bo żeby zatrzeć w jego pamięci moje okrucieństwo, wszyscy goście jęli w dwójnasób okazywać mu serdeczność, tak że gdy upadł mu jakiś papierek, dwie staruszki i starzec rzucili się, by go podnieść.”

Witold Gombrowicz, Dziennik z Rio Ceballos

i Outing

Przez wiele lat martwił mnie fakt, że mój gust muzyczny odbiega od normy społecznej. Od czternastego roku życia jestem fanem muzyki klasycznej, muzyka

pop/rock spływała zawsze po mnie jak po kacze. Oprócz tego uważam się jednak za człowieka otwartego, ciekawego świata i niebojącego się zmian, jestem wręcz nieufny wobec sekciarzy, którzy zamykają się w swoich własnych światach. Moim zdaniem trzeba popierać integrację europejską, przeglądać recenzje aktualnych filmów kinowych i pisać SMS-y posługując się systemem T9. Jeśli ktoś nie wie, co to jest, T9, i wciąż jeszcze mozolnie wystukuje SMS-y zamiast elegancko buszować po klawiaturze, musi się liczyć z szyderczym uśmiechem z mojej strony.

Dlaczego właśnie ja wyłądowałem w tym dźwiękoszczelnym getcie muzyki klasycznej, którego granice rozciągają się od Claudio Monteverdiego do Philipa Glassa, od Jana Sebastiana Bach do Krzysztofa Pendereckiego? (Słowo „getto” jest tu na miejscu, bo według statystyk, muzyka poważna stanowi dziś zaledwie 7 procent wszystkich opublikowanych nagrań.)

W czym tkwi przyczyna, że anglosaska muzyka pop/rock, jeden z głównych filarów nowoczesnej edukacji, nigdy nie poruszała mnie tak jak trzeba?

Gdybym przynajmniej nawrócił się na klasykę dopiero po trzydziestce! Czułbym się o wiele bardziej cool, gdybym mógł z szelmowskim uśmiechem powiedzieć:

„Oczywiście, że jako piętnastolatek słuchałem AC/DC, Police i Supertrampa. Ale pod koniec młodości przeżyłem cudowne nawrócenie. Z heavymetalowego Szawła stałem się adorującym Mendelssohna Pawłem”.

Ale nie, niedany mi był prawidłowy rozwój muzyczny, a z tego powodu całe słowo „młodość” brzmi trochę dziwnie z moich ust. Do wieku 24 lat kompletnie bojkotowałem muzykę pop/rock. Gdy na wycieczkach klasowych i prywatnych imprezach zaczynały się dyskusje o najnowszych przebojach, milczałem wstydliwie, żeby nie przyznać się do tego, że nie znałem nawet takiego kawałka jak *Child in time* Deep Purple. Na dyskotekę poszedłem po raz pierwsze, gdy miałem dwadzieścia lat, a ateistyczny hymn XX wieku, czyli piosenkę *Imagine* Johna Lennona, usłyszałem dopiero będąc na jednej z polskich wsi, koło Płocka, w wieku dwudziestu sześciu lat. Na krótko przedtem, w 1994, poszedłem na pierwszy w życiu koncert rockowy, słynny występ Pink Floydów na stadionie olimpijskim w Berlinie, ale tylko dlatego, że jako student mogłem tam sprzedawać obwarzanki.

I tak wszystko się strasznie skomplikowało – cała moja młodość na podwórkach szkolnych, w uniwersyteckich stołówkach i wszelkich innych miejscach, gdzie spotkałem się z równolatkami. W przypadku młodego fana klasyki należałoby zamiast „socjalizacji” raczej mówić o „asocjalizacji”. Odetchnąć mogłem tylko w opustoszałych, dźwiękoszczelnych działach z muzyką klasyczną, gdzie po szkole przeciskałem się między półkami, podpatrując najwyżej erotomańskich emerytów, którzy pytali sprzedawcę o *Bolero* Ravela.

*

Klasyka to piętno, a fan klasyki to frajer, przynajmniej dopóki ma mniej niż 40 lat, nie obraca się w środowisku muzycznym i nie należy do arystokratycznej elity, która pije szampana na premierach w Salzburgu albo Bayreuth. Dwudziestoltni, dwudziestopięcioletni miłośnik klasyki uważany jest za starannie zaczesanego mieszcuszkę, rozpieszczoną wrażliwca, konserwatywnego wykształciucha, pedalskiego snoba, pięknoduchowskiego maminsynka, wstrętnego kujona.

Najlepszym przykładem dla nędznej roli muzyki poważnej w nowoczesnym świecie to pewien eksperyment, który toczy się od paru lat na niektórych europejskich dworcach. W głównym holu grano tam przez całą dobę muzykę klasyczną. W Hamburgu słyszałem fragmenty koncertu skrzypcowego e-moll Felixa Mendelssohna, w Kopenhadze zaś poczekałem dziesięć minut, aż wybrzmiała cała pierwsza część mojego ulubionego drugiego koncertu dla fortepianu Sergiusza Rachmaninowa. Za tak prowokacyjnym zabiegiem nie stoi jednak jakiś dziwaczny meloman w kierownictwie kolei niemieckich albo duńskich, lecz poważna naukowa socjologia. Badania policyjne wykazały bowiem, że utwory Mendelssohna, Rachmaninowa albo Brahmsa wydatnie redukuje liczbę kręcących się na dworcach narkomanów i żebraków. Cały dworzec, punkt zapalny na mapie każdego miasta, zwłaszcza w nocy, staje się bezpieczniejszy, gdy jest otulony płaszczem klasycznej muzyki. Nawet zwyczajni trawellersi nie są już tak skorzy, by rozłożyć tam swoją karimatę. Wolą spać pod gołym niebem, gdzieś między kontenerami ze śmieciami. Tylko taki klasyk-fan stoi w ogromnej hali i z ciekawością przysłuchuje się muzyce, mając wrażenie, jakby był kosmitą, który zakochał się w strachu na wróble, zamiast pierzchnąć czym prędzej.

*

A może się mylę? Może cierpię na manię prześladowczą? Czyż notowania muzyki klasycznej nie są całkiem wysokie? Czyż nie spowija jej otoczka elitarności i luksusowego blichtru? Sklepy z winami, w których puszczano muzykę klasyczną donoszą, że obrót zwiększył się dwuipółkrotnie. „Przy czym klienci nie kupowali wcale większej liczby butelek, ale za to wybierali te droższe! Symfonie Mozarta – jak zresztą cała muzyka klasyczna – większość z nas kojarzy z kulturą wysoką, i zapewne też z wyszukaniem gustem i prestiżem”. (Nicolas Guéguen, G&G Dossier Kunst und Musik, s.74)

Sprzedaż płyt z muzyką klasyczną spadł procentowo zdecydowanie mniej niż w sektorze muzyki pop/rock. Przewiduje się, że hossa potrwa jeszcze parę dobrych lat. Wielkie wytwórnie pozwolą sobie więc dalej na dość purystyczny ideał muzyki klasycznej. Nie ma tam dużo miejsca na eksperymenty z nowymi nurtami muzycznymi. Młody pianista, powiedzmy Rafał Blechacz, gdyby włączył do programu swoich recitali aranżacje Beatlesów, spotkałby się z ich zdecydowaną dezaprobatą. Igraszki z tak zwanym cross-over'em to głośny, medialny temat, ale tak naprawdę zarezerwowany dla małej garstki artystów, którym więcej wolno niż reszcie, nawet farbowanie włosów. Przedstawiciele tego rzadkiego gatunku to skrzypkowie David Garrett i Nigel Kennedy oraz pianista Lang Lang.

W akademickiej nauce muzyka popularna oczywiście też nie jest brana pod uwagę. W książce uznanego niemieckiego muzykologa Petera Gülke, która nosi uniwersalny tytuł *Język muzyki* i ukazała się nie w 1950, ale w 2000 roku, na 453 stronach wszystko dotyczy wyłącznie muzyki poważnej, od Jana Sebastiana Bacha po Heinza Holligera. Klasyka tu jest uważana za jedyną prawdziwą muzykę, w odróżnieniu od muzyki „rozrywkowej” dla głupich mas.

Zazdroszczę im ich arogancji, bo nigdy nie było mnie stać na nią. Wychowałem się w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku, czyli w czasach, gdy nikt już

nie miał wątpliwości co do totalnego zwycięstwa muzyki pop/rocka. W moim pokoleniu muzyka Bacha lub Szymanowskiego była już wyłącznie kojarzona z domem starców albo pogrzebem prezydenta, a prawdziwa przyczyna dość stabilnej sprzedaży klasycznych płyt według mnie tkwi w fakcie, że przeciętny fan klasyki ma sześćdziesiąt lat i po prostu nie wie, jak darmowo ukraść muzykę z internetu.

*

Dlatego już od najmłodszych lat starałem się ukrywać swoje dziwaczne upodobania muzyczne. Jeszcze całkiem niedawno, przed Bożym Narodzeniem, kiedy szedłem do kasy berlińskiego megastoru z czterema płytami, czterema wersjami drugiej symfonii Gustawa Mahlera, zwanej „Zmartwychwstania”, nie wytrzymałem presji, podszedłem do pobliskiej półki z pop/rockiem i sięgnąłem po płytę angielskiego zespołu Coldplay. Przez to kasjer mógł pomyśleć skanując moje zakupy, że Mahler to tylko prezent dla moich dziadków.

Na korytarzach urzędów albo w poczekalniach lotniskowych raczej nie pogwizduję już melodii Berliozą albo Szostakowicza lecz bardziej popularne rzeczy typu walca z *Ojca Chrzestnego*. Tak robię, bo miałem kiedyś dość nieprzyjemne przeżycie.

Pewnego dnia w toalecie pewnego europejskiego lotniska gwizdałem sobie smutną melodię z opery „Rozamundy” Franza Schuberta. Nagle ktoś z sąsiedniej kabiny bardzo nieładnie zaczął imitować moje melancholijne gwizdanie. Uciekłem z tego miejsca w popłochu.

Jestem hypokrytą nawet w swoim własnym mieszkaniu, czy to w Berlinie czy to w Warszawie: słysząc dzwonek u drzwi, niechby to był nawet tylko kominiarz, szybko zmieniam płytę Beethovena czy Mozarta na modne piosenki Mike’a Pattona czy Chrisa Cornella. Nie mam ochoty na dziwne spojrzenia od nieznanomych.

Gdy w niemieckim pociągu ICE słucham kanału klasycznego, na czas kontroli biletów, kiedy muszę zdjąć słuchawki, ściszam muzykę najbardziej jak się da, żeby inni pasażerowie nie zorientowali się, co jest grane. Raz przydarzyła mi się żenująca wpadka, gdy słuchałem na laptopie III symfonii Antona Brucknera i nie docisnąłem prawidłowo wtyczki od słuchawek. Cały wagon napełnił się pompatyczną, brucknerowską muzyką, a ja nic o tym nie wiedziałem, bo miałem przecież słuchawki na uszach. Dopiero zdziwione spojrzenia i półuśmieszki współpasażerów uświadomiły mi niezbitcie, że zostałem nakryty.

A może znowuż tylko mi się wydawało, że inni dziwnie na mnie patrzą? Może wcale nie było żadnych półuśmieszków? Nie jestem już w stanie się w tym rozeznąć. Dopadła mnie porządna paranoja.

*

W październiku 2008 roku byłem w Londynie. Na koniec urokliwego weekendu zostawiłem sobie wizytę w multimedialnym sklepie Virgin przy Oxfordstreet.

Wjechałem więc schodami ruchomymi na pierwsze piętro i dostrzegłem przynajmniej pięćdziesięcioosobową zgraję, złożoną w większości z nastolatków w czarnych T-shirtach, która kłębiła się przed żółto-czarną taśmą i tarasowała mi przejście na drugie piętro, gdzie był dział muzyki klasycznej (zawsze jest na górze, w rogu, na

końcu). Za taśmą stał stolik do dawania autografów, którego strzegło czterech ochroniarzy. Plakaty i ulotki zapowiadały zespół *System of a Down*, który miał niebawem zasiać za tym stolikiem i podpisywać swoją nową płytę.

Gwiazdorzy mieli się lada chwila pojawić, na co wskazywał radosny nastrój i krzyki fanów. Dzięki ogólnemu entuzjazmowi i angielskiej uprzejmości bez problemu przecisnąłem się do barierki i wskazując na schody, szepnąłem do ucha ochroniarzowi: „To the Classic Department”. Strażnik mnie nie zrozumiał: „Pardon?” Wśród młodzieży podniosły się krzyki, bo podejrzewano, że jakiś cwany łowca autografów chce sobie zapewnić pole position. „I am a classic fan” powiedziałem już nieco głośniej, i na poparcie swych słów, wskazałem na schody prowadzące na drugie piętro. Ochroniarz pojał wreszcie, o co mi chodzi i uniósł czarno-żółtą taśmę, bym mógł się wydostać na schody. Na górę jechałem zupełnie sam. Towarzyszył mi jedynie zaskoczony wzrok zgromadzonego tłumu. Szybkim krokiem przemierzyłem pusty dział jazzu i muzyki etno i dotarłem do oszklonych drzwi działu klasycznego. Atmosfera w środku przypominała trochę klimat eleganckiego salonu meblowego wyłożonego puszystymi perskimi dywanami. Z głośników sączyło się ciche trio fortepianowe H-dur Johanna Brahmsa. Tak oto znalazłem się w jednym z największych działów z muzyką klasyczną w Europie; było to ukoronowanie całej mojej wyprawy do Anglii. Na pytanie o nagrania dyrygenta Jaschy Horensteina dwóch dyskretnych sprzedawców, dla których pojawienie się klienta było wydarzeniem, zaprowadziło mnie do regału, na którym widniał napis „Horenstein”. Takie specjalne regały dla dyrygentów znanych tylko koneserom znajdują się co najwyżej w kilkunastu sklepach muzycznych na świecie. Od razu dostrzegłem od dawna poszukiwaną przeze mnie kolekcję z rzadkimi nagraniami Horensteina z lat pięćdziesiątych. Byłem w siódmym niebie.

Dwie godziny później opuściłem dźwiękoszczelne pomieszczenie z klasyką, i niosąc w ręku czerwono-białą reklamówkę z jedenastoma płytami w środku zjechałem schodami na dół. Na pierwszym piętrze nikogo już nie było, tylko kawałki porwanej taśmy bezpieczeństwa i pomięte ulotki na podłodze świadczyły o szturmie, który przypuścił tłum. Na parterze strażnik zwrócił mi grzecznie uwagę, że już niedługo zamykają. Był to ten sam człowiek, przed którym ujawniłem się jako „fan klasyki”. Spoglądał na mnie chyba jakimś dziwnym wzrokiem. A może znowu mi się tylko tak wydawało?